

Roman Zimand

Tłumacz-zdrajca i tłumaczenie-zdrada

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 6 (24), 56-71

1975

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Roman Zimand

**Tłumacz-zdrajca
i tłumaczenie-zdrada**

Wyuzdanie
teoretyków

Zgodnie z tytułem mowa będzie o tłumaczu, a właściwie o pewnym aspekcie czynności tłumaczenia. Przekłady, którymi będę operował, pochodzą z trzech książek i trzech artykułów zajmujących się takimi dziedzinami, jak teoria literatury, teoria sztuki, teoria filmu, teoria języka i teoria człowieka. To ostatnie określenie może zdziwić czytelnika, jeśli jednak zechce się zastanowić, to sam dojdzie do wniosku, że w domenie wiedzy humanistycznej pojęcie „teoria” używane jest z wyuzdanym nieumiarem; jeśli może istnieć „teoria literatury”, to naprawdę nie ma powodu, dla którego nie miałyby istnieć — w obyczaju językowym — „teoria człowieka”.

Chciałbym podkreślić, że z sześciu pozycji, o których wspomniałem, pięć uważam za cenne, pouczające, warte wysiłku przeczytania; ale nawet w tej jednej, która budzi we mnie bardzo silne opory, znaleźć można ciekawe pomysły i inteligentne interpretacje. Zresztą gdyby chodziło o teksty po prostu złe — nie byłoby o czym mówić.

I

Włoskie *traduttore-traditore* stosowane jest albo jako uogólnienie o mocy prawa, albo jako chwyt polemiczny.

W przypadku pierwszym „prawo” wyrażone przy pomocy owej gry słów głosi, że przekład, każdy przekład, musi być niewierny względem oryginału. (Na tym się opierając, Paweł Hertz — sam przecie tłumacz znakomity — napisał w jednym ze swoich felietonów w „Tygodniku Powszechnym”, że od nowomodnego „przełożył” czy „przetłumaczył” woli staroświeckie „spolszczył”, jako że lepiej stan rzeczy oddaje. Czy konsekwentnie wolałby „zhiszpańszczył”, „zrosyjszczył” itd.? Nie należy — uczy poeta — więcej wagi przypisywać słowom, niż słowa unieść mogą bez śmieszności).

Sama teza, iż przekład *ex definitione* nie może być w pełni wierny oryginałowi, brzmi dość prawdopodobnie, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę margines wolności zawarty w określeniu „w pełni wierny”. Nie jest jednak na pewno prawem. Po pierwsze, wszystkie znane niewierności przekładów nie wystarczą do zbudowania prawa. To ostatnie bowiem nie jest prostym uogólnieniem praktyki, lecz wspierać się musi na jakiejś teorii; w danym wypadku na teorii języka. Tak więc, po pierwsze... nie mamy armat. Po drugie, poza przypadkami jawnych błędów, kategoria wierności przekładu jest intuicyjna. I aczkolwiek daleki jestem od negacji istnienia czegoś takiego jak „intuicja językowa” (sam ją przecie posiadam, i to — oczywiście — znakomitą!), to przyznać trzeba, iż żadną miarą powiedzieć nie możemy, kiedy dwie intuicje językowe są sobie równe, a kiedy nie. A prawo oparte na czymś, co nie da się wysłowić, nie jest prawem.

W przypadku drugim używa się *traduttore-traditori* jako pchnięcia polemicznego (najlepiej z wykrzyknikiem), tuż przed lub tuż po sprezentowaniu

Prawo
i intuicja

rzeczywistych czy domniemanych pomyłek tłumacza.

Tłumacze oczywiście popełniają błędy, niekiedy nawet bardzo śmieszne. (Lat temu bez mała dwadzieścia pięć Władysław Kopaliński napisał przezabawny — jeśli wolno tak powiedzieć — piętrowy pastisz przekładów z rosyjskiego pt. *Trzy pisma*). Te błędy i potknięcia notuje profesjonalny folklor, a niekiedy zapewne je zmyśla, tak iż nie zawsze wiadomo, która opowieść o pomyłce Iksa czy Ygreka jest prawdziwa. Na wystawie Podkowińskiego ktoś naprawdę przetłumaczył nazwę wsi Wilczyce jako *She-wolves*. Ale opowieść o tym, jak *Peau du chagrin* przełożono jako *Garnek smutku*, sam słyszałem ze trzy razy i za każdym razem wiązano ją z nazwiskiem innego tłumacza.

Wydaje się jednak, że prócz tego, co głosi rzekome prawo, i prócz zbioru anegdot o kuriozalnych pomyłkach tłumaczy, można powiedzenie o tłumaczu-zdrajcy zastosować do zupełnie innej sytuacji. Można mianowicie powiedzieć, że nic tak nie wydobywa na jaw (ujawnia, a więc zdradza) słabości i potknięć tekstu, jak praca nad przełożeniem go na inny język. Odnosi się to w każdym razie do piśmiennictwa humanistycznego o zacięciu „naukokształtnym” oraz do eseistyki.

Ujawnienie
słabości
oryginału

II

Od lat modne jest w naszej publicystyce gromienie „feodalizmu” w życiu akademickim. Jak to u nas w zwyczaju, walka jest raczej jednostronna, bo nie pomnę ani jednego głosu w obronie owego „feodalizmu”. Nie pamiętam też, by którykolwiek ze zwycięskich pogromców tego smoka napisał po prostu: chodzi o autonomię; jakoś tak się złożyło, że każdy z tych św. Jerzych był gongorystą. Nie wiem czy „feodalizm” w życiu

akademickim został już ostatecznie wykorzeniony, ale przypuszczam, że zwłoki jego przesyte tyłoma celnymi pociskami spoczywają w jakichś podziemiach, najpewniej w tych, w których gromadzili się — a może po dziś dzień się gromadzą? — templariusze, karbonariusze, kapelusze i mędrzy Syjonu. Niechaj tedy wolno mi będzie nad nieznaną mogiłą onego pohańca, tj. akademickiego „feodalizmu”, wypowiedzieć słów dobrych kilkoro.

Otóż wśród „feodalnych” obyczajów uniwersyteckich były i dobre, które szkoda, że zaginęły. A wśród tych dobrych był z kolei taki, co polegał na prawie tłumacza do komentowania — często krytycznego — oryginału. Karykaturą tego obyczaju są dziś tzw. przedmowy piorunochronne, których autorami prawie nigdy nie są tłumacze. Między innymi chyba dlatego, że skoro ktoś może i chce zarabiać pisząc przedmowy piorunochronne, to nie musi już zarabiać jako tłumacz. Rzadko się tedy zdarza, by przedmowa wchodziła w materię języka, nie czyni tego nawet wówczas, gdy poprawnie odczytuje sens dzieła, co niekoniecznie zawsze ma miejsce. Tymczasem tłumacz-zdrajca, jeśli jest rzetelnym „zdrajcą”, musiał jak nikt inny spenetrować sekrety i zakamarki oryginału.

Obyczaje
feudalne

Tu zgodnie z zasadami retoryki — przykłady.

1. „Le récit cinématographique affirme son arabesque selon sa fantaisie, mais ne laisse toutefois d'enlacer de son serpent in le monde réellement perçu, tige rigide, bâton fidèle de ce caducée”.

2. “(...) We should not forget that Christian writers learned this kind of reduction of meaning from late classical men when we find ourselves annoyed with the unconvincing Daphnes who by yielding «under a lunrer» made Apollo seize its leaves for a crown signifying triumph, or the King-Phaetons who cannot control — not a sun-chariot — but the fierce commons, or the Cadmuses who establish universities, killing serpentine error beside a fountain”.

Zgrzytając zębami cytat pierwszy można chyba przełożyć w sposób następujący:

Przekład ze
zgrzytaniem
zębami

1a. „Opowieść filmowa potwierdza swoje arabski wedle własnej fantazji, lecz mimo to nie przestaje ściśle oplatać zwojami realnie postrzeganego świata, sztywnego pnia, wiernej rękocyści tego kaduceusza”.

Piękne pisanie

Sama operacja przekładu, czy raczej liczne operacje składające się na przekład ujawniają, że mamy tu do czynienia z ciężkim przypadkiem grafomanii: zwoje opowieści filmowej oplatają realnie postrzegany świat, ten zaś jest „sztywnym pniem” a zarazem „wierną rękocyścią kaduceusza”, którym to kaduceuszem jest, jak należy przypuszczać, stanowiąca podmiot zdania „powieść”. Tłumacz musi być zdrajcą, ponieważ w odróżnieniu od zwykłego czytelnika musi się zastanowić nad tym, gdzie tu podmiot, gdzie orzeczenie, gdzie przydawka i co jest sztywnym kaduceuszem zwojów. Ponieważ francuski oryginał i jego polski odpowiednik powiadają jedynie o tym, jak autor wyobraża sobie „piękne pisanie” i o niczym więcej, można by więc rozpatrywane zdanie uznać za przykład „projekcji zasady ekwiwalencji z osi wyboru na oś kombinacji”, której to propozycji — obawiam się — Balcerzan i Sławiński nigdy mi nie wybaczą. Mniejsza jednak o to, czy ów owinięty kaduceusz arabesek stanowi realizację „funkcji poetyckiej”, czy nie. Skoro zdanie o niczym nas nie powiadamia, to jego grafomania jest szumem w postaci czystej — nie zakłóca żadnej informacji a jedynie zajmuje przestrzeń na papierze.

Znacznie trudniej przedstawia się sprawa z cytatem (2). Podaje on przykłady skrajnie naiwnych racjonalizacji mitu, tzn. zawiera informacje dotyczące faktów. Pierwsze dwa nie sprawiają kłopotu:

2a. „Nie powinniśmy jednak zapominać, że pisarze chrześcijańscy przejęli ten sposób redukcji znaczenia od ludzi późnego antyku. To u nich zakłopotani i znudzeni spotykamy ową nieprzekonującą Dafne, która skapitulowała «pod krzewem laurowym», co sprawiło, że Apollo uznał jego liście za wieniec symbolizujący tryumf, lub Faetona, króla,

który nie potrafił uporać się — nie z rydwanem słonecznym — lecz ze zwykłym narowistym zaprzęgiem (...)”.

Jak na razie wszystko idzie gładko, ale oto przełożyć trzeba następny fragment i okazuje się, że mowa w nim o Kadmosach, którzy... zakładali uniwersytety, no, powiedzmy, szkoły... Tłumacz, nie będąc z wykształcenia znawcą kultury późnego antyku, zaczyna najpierw szukać po bibliotekach, potem zwraca się do polskich specjalistów, wreszcie — korzystając z okazji — dopada angielskiego bizantynistę. I wprawdzie skutkiem tych zabiegów poszerza swoją wiedzę na temat antycznych interpretacji oraz wariantów mitu o Kadmosie, ale przetłumaczyć wspomnianego fragmentu nie może. Gdyby bowiem napisał, że Kadmos założył uniwersytet, zostałyby ośmiany na zawsze. Tłumacz może zatem przełożyć inkryminowany fragment dość dowolnie, operując znanym mitem o Kadmosie jako twórcy alfabetu greckiego, albo postąpić wedle słynnej rosyjskiej zasady „dla większej jasności wyczerknąć”.

Jak można
rozjaśnić

III

Ale teksty humanistyczne zawierają nie tylko informacje o faktach czy też zdania, które nie są sądami, nie odnosi się bowiem do nich kryterium prawdy i fałszu. Informują nas one, często *en passant*, o metodologicznych czy filozoficznych przekonaniach autora. Tłumacz przekładając te fragmenty niekiedy ujawnia, tj. zdradza coś, co się autorowi „powiedziało”.

Posłużmy się ponownie przykładami.

3. “It is the thoroughgoing metaphorical nature of allegory which make its possible. Like the neighboring trope of irony, metaphor implies what it cannot overtly state without losing the formal character which defines it as a figure; both figures are, as it were, open at one end, allowing interpretations which can be supported by proper evidence but not proven”.

Situation in
philosophy of
language

4. "The situation in philosophy of language today is reminiscent of that in psychology near the end of the last century. In the latter case apriority led to sterility and conceptual confusion until the empirical constraints upon psychological theory were made explicit. In succeeding years, philosophical psychology come to take its proper role, viz. the analysis of the concepts, theories, and methodology of scientific psychology".

Przyjmijmy, że pierwszy z tych cytatów wygląda po polsku jak następuje:

3a. „Jest to możliwe dzięki nie liczącej się z niczym metaforycznej istocie alegorii. Metafora, podobnie jak bliska jej ironia, zakłada coś, co pod groźbą utraty kształtu czyniącego z niej figurę stylistyczną nie może być jawnie wypowiedziane. Obie są z jednego końca jak gdyby otwarte, co pozwala na dokonywanie takich interpretacji, które mogą być oczywiste, lecz nie dowiedzione”.

Istnieje też druga możliwość, według której zakończenie ostatniego zdania brzmi: „(...) co pozwala na dokonywanie takich interpretacji, które mogą być wsparte świadectwem, lecz nie dowiedzione”. Za tą wersją przemawiałaby frazeologia („supported by proper evidence”), przeciw niej fakt, że „evidence” zostało użyte w liczbie pojedynczej.

Przywołując ten przykład, nie miałem zamiaru „dzielić się trudnościami”. Chodziło mi o coś zupełnie innego. Oba mianowicie warianty zawierają w sobie pewne koncepcje — w szerokim sensie — metodologiczne. W przypadku pierwszym Euklidesowe przekonanie, że pewniki nie mogą być dowiedzione (notabene przekonanie dawno przez matematykę zarzucone); w przypadku drugim — założenie właściwe naukom indukcyjnym, według którego tezy mogą być wsparte świadectwem przykładów, lecz nie mogą być dowiedzione. Istota zdrady, jakiej dokonuje tu tłumacz, polega na tym, że w toku pracy nad przekładem jawi się w sposób natrętny, iż żaden z tych dwóch „chwytów” metodologicznych nie ma nic wspólnego z procesem eksplikacji metafory; w gruncie rzeczy oba warianty są w tym kontekście równie bezprzedmiotowe.

Istota zdrady
tłumacza

Kłopoty z cytatem (4) są właściwie żadne. Wyklada się go po polsku jak następuje:

4a. „Obecna sytuacja w filozofii języka stanowi reminiscencję stanu, w jakim znajdowała się pod koniec ubiegłego wieku psychologia. Wówczas to aprioryzm doprowadził do bezpłodności i konfuzji pojęć. Trwało to dopóki, dopóty empiryczne sprawdziany teorii psychologicznej nie zostały wyraźnie sformułowane. W następnych latach filozoficzna psychologia zaczęła pełnić właściwą rolę, tj. zajęła się analizą pojęć teorii i metodologią psychologii naukowej”.

Wypowiedź ta zabawna jest niejako podwójnie. Zawiera wyjątkowo optymistyczną wizję „naukowości” współczesnej psychologii. Jeżeli autorzy chcieliby uczynić z teorii języka — teorię „prawdziwie naukową”, to prawdę mówiąc, obrali sobie kiepski wzór scjentyficznego. W cytacie zawarta jest *implicite* Carnapowska koncepcja filozofii jako metodologii i teorii języka nauki, co jest o tyle uciészne, że pochodzi on z tekstu gwałtownie z Carnapem polemizującego.

I jeszcze jeden przykład tego, co można nazwać metodologią wtrąconą:

5. „My widim nie wsie fakty srazu, nie wsiegda widim odni i tie że i nie wsiegda nuždajemsia w raskrytii odnych i tiech że sootnoszenij. Nie wsio, czto my znajem il' možem znat', swiazywajetsia w naszym priedstawlenii tiem ili drugim smysłowym znakom — priewraszczajetsia iz słuczajnosti w fakt izwiestnogo znaczenija (...) Tieorija dajot prawo i wozmožnost' wwiesti w sistiemu czast' jego pod tiem ili drugim smysłowym znakom. Wnie tieorii niet i istoriczeskoj sistiemy, potomu czto niet princypa dla otbora i osmyslenija faktow.

Odnako wsiakaja tieorija — raboczaja gipotieza, podska-zannaja intieriesom k samim faktam: ona nieobchodima dla tego, czto aby wydielit' i sobrat' w sistiemu nužnyje fakty, i tolko. Samaja nužda w etich ili drugich faktach, samaja potrebnost' w tom ili drugom smysłowom znakie diktujetsia sowlremiennostju — problemami, stojaszczimi na oczeriedi. Istoriija jest', w suszcznosti, nauka słožnych analogij, nauka dwojnogo zrienija: fakty proszłogo rozliczajutsia nami kak fakty znaczymyje i wchodiat w sistiemu, nieizmiennio i nieizbiežno, pod znakom sowlremiennych

Przykład
rosyjski
z wtrąceniem

problem. Tak odni problemy smieniajutsia drugimi, odni fakty zasloniajutsia drugimi”.

Po polsku tekst ten brzmi:

Teoria jest
hipotezą
roboczą

5a. „Dostrzegamy nie wszystkie od razu fakty, nie zawsze też widzimy te same i nie zawsze odczuwamy potrzebę analizy tych samych relacji. Nie wszystko co wiemy, lub wiedzieć możemy, łączy się w naszym wyobrażeniu z takim czy innym sensownym znakiem — przekształca się często z przypadku w fakt o pewnym znaczeniu. (...) Teoria daje nam prawo i możliwość wprowadzenia do danego układu części materiału w postaci tego lub innego znaku. Poza teorią nie istnieje również układ historyczny, nie ma bowiem zasady pozwalającej na dobór i zrozumienie faktów. Jednak każda teoria jest hipotezą roboczą, podpowiadaną nam przez zainteresowanie się faktami: hipoteza taka potrzebna jest do wyodrębnienia i ułożenia w system niezbędnych faktów i tylko do tego. Sama potrzeba tych czy innych faktów, potrzeba tego czy innego znaku dyktowana jest przez współczesność, przez te problemy, które aktualnie domagają się rozwiązania. Historia jest w istocie nauką skomplikowanych analogii, nauką podwójnego widzenia: fakty z przeszłości wyróżniamy jako znaczące i wciągamy do układu stale i nieuchronnie pod ciśnieniem współczesnych problemów. W ten sposób jedne problemy ustępują miejsca innym, jedne fakty przesłaniają inne”.

Ten tekst przekładając, tłumacz niejako proszony jest o to, by zadać sobie pytanie: jaka koncepcja nauki, a w szczególności historii jako nauki o przeszłości, jest tu zawarta? Nie podejmuję się udzielenia odpowiedzi na to pytanie tu i teraz; wydaje się, że nie byłaby ona ani prosta, ani łatwa do sformułowania. Wystarczy zwrócić uwagę, że wyłożona w (5) koncepcja faktu kreowanego przez teorię jest antypozytywistyczna, natomiast koncepcja teorii — „każdej teorii” — jako hipotezy roboczej podpowiedzianej przez zainteresowanie się faktami głosi coś wręcz przeciwnego i stanowi pogłos pozytywistycznej metodologii i teorii nauki.

A oto cytat ostatni, przydługi, ale jakże za to smakowity:

6. „Je ne suis pas plus, moi qui dis «je», dans mon corps, ma boîte crânienne, ma cervelle, que dans cette lampe, ce

mur ou l'étoile qui scintille là-bas par le cadre de ma fenêtre ouverte. Je suis un point de vue sur le monde dans sa totalité. Je me *donne* une conscience en refusant là-bas d'être lampe, mur ou étoile. Ce qui précisément les fait paraître. Coextensif au monde, je suis donc, en un sens, *avec* l'étoile. J'y suis pour ne pas l'être. Je nie que l'étoile et les autres objets soient suffisants et c'est cela qui fait briller l'étoile et donne forme aux objets. Je suis refus de me laisser enfermer et boucler en une convenance mutuelle de toutes ces choses, une parfaite adaptation sans fissure qui éteindrait de même coup le monde et ma vision, m'engloutirait dans l'absolue réciprocité des choses qui sont ce qu'elles sont et annulent leurs échanges dans l'inconscience d'une compensation totale. Je suis une façon de dire «non» au monde et c'est ce recul qui en fait un spectacle. Je suis le monde qui se nie dans une certaine perspective”.

Ostatni, ale
smakowity
cytat

Powiedzmy, że fragment ten można przełożyć, i że można go przełożyć tak:

6a. „Ja, który mówię «ja», nie jestem bardziej w moim ciele, czaszce, mózgu niż w tej lampie, tej ścianie lub gwiazdzie, która miga tam przez ramy mego otwartego okna. Jestem punktem widzenia na ten świat w jego całkowitości. *Nadaję* sobie świadomość odmawiając *tam* bycia lampą, ścianą, gwiazdą. I to właśnie wywołuje rzeczy na jaw. Współrozciągly ze światem, jestem w pewnym sensie z gwiazdą. Jestem tam po to, by nią nie być. Odmawiam gwiazdzie i innym przedmiotom wystarczalności i to właśnie czyni gwiazdę błyszczącą, nadaje kształty przedmiotom., Jestem niezgodą na zamknięcie mnie we wzajemnej zgodności rzeczy, w doskonale szczelnym przystosowaniu, które stłumiłoby zarazem świat i moje widzenie, wchłonęłoby mnie w absolutną wzajemność rzeczy, które są tym, czym są, w nieświadomości zrodzonej przez całkowitą kompensację unieważniając swoje stosunki. Jestem sposobem mówienia «nie» światu i to ta odmowa czyni zeń widowisko. Jestem światem, który w pewnej perspektywie neguje sam siebie”.

Gdybym miał na seminarium tłumaczyć studentom tezę Carnapa, według której pseudotwierdzenia składają się albo ze słów pozbawionych znaczenia, albo z sensownych słów połączonych w bezsensowny sposób, to bez wahania wybrałbym tekst powyższy jako ilustrujący oba przypadki. Ale to w ramach

Ponura post-
-sartre'owska
grafomania

wyżłóśliwiania się. Mówiąc natomiast poważnie: tłumacz przekładając ten fragment wydobywa na jaw szczególnie rodzaj postsartre'owskiej grafomanii filozoficznej. Mamy tu bowiem do czynienia z prezentacją pewnej teorii poznania, która to całość (teoria plus sposób prezentacji) cechuje się tym, że *musi* być wyłożona w sposób niejasny. Jak się bowiem wydaje, jasny wykład ukazywałby automatycznie wtórność tej koncepcji stosunku „ja — nie-ja”. Nie moją rzeczą jest sądzić, na ile ta ponura grafomania jest indywidualnym tworem autora, a w jakim stopniu ujawnia cechy wszelkiej egzystencjalistycznej teorii poznania.

IV

Założmy, że dobór przedstawionych tu cytatów, przekład i uwagi były trafne. Może jednak powstać pytanie, czy aby każdy czytelnik oryginału nie był w stanie poczynić podobnych obserwacji; każdy czytelnik, tzn. zarówno ten, dla którego dany język jest ojczystym, jak i ten, który sprawnie posługuje się danym obcym językiem. Jeżeli tak, to wszystko to nie ma nic wspólnego z czynnością tłumaczenia.

Sytuacja
przekładu

Teoretycznie rzecz biorąc, odpowiedź na powyższe pytanie powinna być pozytywna. Twierdzą jednak, że w praktyce operacje, jakich *musi* dokonać tłumacz, stawiają go w szczególnej pozycji względem tekstu. I to w dwu całkowicie różnych płaszczyznach.

Pierwsza dotyczy tego fragmentu psychologii poznania, jakim jest psychologia lektury. Tłumacz *musi* czytać inaczej.

Z przytoczonych tu fragmentów (1) oraz (4) stanowią przykłady czystej redundancji. Wprawdzie bez redundancji nie ma komunikacji, ale zarazem praktycznie żaden czytelnik tekstów humanistycznych

nie zwraca na nią uwagi. Czytelnik zachowuje się nie tylko tak, jak gdyby zawsze wiedział, że teksty humanistyczne muszą zawierać pewien procent „nadmiaru” czy też „szumu” (estetycznego, ideologicznego, etykietalnego itp.), tzn. umie koncentrować uwagę na tym, co „szumem” nie jest, a zatem czytać nieuważnie to, co „szumem” jest. (Dla uproszczenia pomijam fakt, że pojęcia „informacji” i „szumu” w tekstach i w badaniach humanistycznych są względne, zależne od tego, o co pytamy; gdybym chciał badać poetykę wypowiedzi egzystencjalistycznej, to (6) nie byłoby dla mnie „szumem”, lecz niezwykle cenną informacją). Tłumaczowi oczywiście nie wolno posługiwać się wybiórczością uwagi. Dla tłumacza *każde zdanie tekstu, nad którym pracuje, jest jednakowo ważne*. Różni się on tu od normalnego czytelnika, od większości humanistów, eselistów i prozaików (o ile tylko nie są Flaubertami, co zdarza się rzadko); różni się wreszcie od korektora, dla którego ważne jest przede wszystkim słowo, a dopiero potem, ewentualnie, zdanie.

Przykłady (2) oraz (5) to z kolei przypadki wtężeń nierzadko spotykanych w piśmiennictwie humanistycznym. Określiłbym je mianem „redundancji metodologicznej”. Zazwyczaj pojawia się ona wówczas, gdy badacz o skłonnościach empirystycznych uważa, iż powinien *en passant* sformułować swoje metodologiczne *credo*. Rezultaty bywają — powiedzmy — różne, ale ponieważ takie deklaracje wiary pojawiają się najczęściej jako wstawki w pracach poświęconych konkretnym i często znakomitym analizom, przeto czytelnik rzadko kiedy przywiązuje wagę do doświadczeń tego rodzaju. Tłumacz musi je przełożyć, tzn. przede wszystkim uważnie przeczytać i zrozumieć, przynajmniej w płaszczyźnie czysto językowej.

Reakcja na kształt przykładu (6) zależy od intelektualnych i emocjonalnych predyspozycji czytelnika. Jeśli lubi tego rodzaju filozofię, to pogrąży się w

Dla tłumacza
wszystko
ważne

Metodologicz-
na redundancja

niej z zachwytem; zapytany „co to znaczy?”, spojrzę z pogardą na symplaika, który odzywając się w ten sposób, zdradza tym samym zasadniczy brak wzniosłości, głębi, piękna oraz umiejętności wczuwania się. Otóż z tłumaczem rzecz ma się inaczej. Choćby był przysięgłym entuzjastą Sartre'a i Heideggera, musi powiedzieć „co to znaczy” w tym przynajmniej zakresie, w jakim każdy przekład odpowiada na to pytanie. To znaczy że — biorąc za przykład (6) — musi zdecydować, co zrobić z konstrukcją przymiotnikowo-rzeczownikową „coextensif au monde” lub ze szczególnym przypadkiem użycia „leurs échanges”. Tu ze sfery psychologii lektury przechodzimy do dziedziny wiedzy o języku. (Uważny czytelnik spostrzeże, że nie opatrzyłem komentarzem przykładu (3), ale też nie proponowałem przekładu całości tego cytatu).

„A tall girl”
i „tall rush”

Przyjmijmy na chwilę skrajnie uproszczone, a więc fałszywe założenie, że czynność translacji to tyle, co poszukiwanie synonimiczności. Ktoś, kto przełożyłby na angielski „wysoka gorączka” jako „tall rush”, opierając się na tym, że „a tall girl” = „wysoka dziewczyna”, „gorączka złota” zaś = „gold rush”, miałby właśnie kłopoty z synonimicznością. Mimo żartobliwość przykładu nie należy lekceważyć tego aspektu zagadnienia. Istnieją, jak wiadomo, takie sposoby uprawiania filozofii, które polegają na poszukiwaniu prawdy w — i poprzez — dość poetycko rozumianą etymologię. Jeśli oceniać pomysły wyłącznie wedle dawności, to ten byłby nader zacny. Wśród licznych jego realizatorów znalazłby się i Mickiewicz; ale nie dlatego imię jego sławne jest. Etymologie takie uprawia dziś Heidegger, i bywa za to podziwiany. Filozofia ta *explicite* opiera się na pewnym założeniu dotyczącym stosunku słowa do rzeczywistości (czy można by tu w ogóle mówić o teorii referencji?). *Implicite* natomiast musi przyjmować dwa założenia: a) musi negować znaczenie synonimiczności, b) musi po cichu uznawać, że dany

język — np. niemiecki albo baskijski — jest „z natury rzeczy” bardziej filozoficzny i bliższy prawdzie niż inne. To ostatnie najłatwiej by się broniło, gdyby dowiedziano, że nim Pan rzekł „zstąpmy, a pomieszczy tam język ich”, ludzie mówili po baskijski lub po niemiecku.

Przyjmijmy tedy na chwilę skrajnie uproszczone założenie, że czynność tłumaczenia to tyle, co poszukiwanie synonimiczności. Otóż wprowadźmy, że w języku polskim „lustro” i „zwierciadło” są synonimami (nie totalnymi), podobnie jak w angielskim „mirror” i „looking-glass”, ale... pojawia się tu mendel różnych „ale”.

Po pierwsze, związane z teorią znaczenia, reguły synonimiczności nie są bynajmniej jasne dla jednego języka naturalnego, a co dopiero mówić o równoznaczności między wyrażeniami w dwóch językach. Czyli, inaczej mówiąc, nie potrafimy sformułować reguł, które sterowałyby czynnością tłumaczenia w jego skrajnie uproszczonej wersji. Ten kłopot, mimo iż wymieniony na pierwszym miejscu, nie wydaje mi się najważniejszy; przynajmniej póki mowa o ludziach, a nie o maszynach. Na swój prywatny użytek uważam, że w humanistyce nie brak teorii jest niebezpieczny — naprawdę niebezpieczny jest brak wiedzy i fałszywe mniemanie, że się teorię posiada. Gdy chodzi o przekład, wiedza o języku wydaje mi się ważniejsza od ewentualnej teorii języka, czyli — odwołując się do przykładu — to, co robili przedstawiciele szkoły oksfordzkiej, bardziej jest przydatne dla tłumacza od tego, co robi Chomsky. Wystarczy tu zastanowić się nad problemami, wobec jakich może stanąć tłumacz, mając do czynienia ze wspomnianymi parami synonimów: „lustro — zwierciadło” oraz „looking-glass — mirror”. Tłumacz, dobry tłumacz, powinien posiadać uwewnętrzną — i niemałą — wiedzę na temat sposobu użycia słów (czterech słów). Gdyby ktoś chciał zbudować poprawną teorię, która stanowiłaby artykula-

Zanim Pan
pomieszał
języki

Wiedza czy
teoria...

...oksfordczycy
czy Chomsky

cję tej wiedzy dobrego tłumacza, to gra nie warta byłaby świeczki. Albowiem ogromnym nakładem pracy osiągnięty by został twór nieporęczny i wątpliwe czy przydatny.

Otóż jak sądzę — obok zasady „każde zdanie jest jednakowo ważne” — właśnie wiedza o sposobie użycia słów powoduje, że czynność tłumaczenia bywa czynnością bezlitosnego ujawniania potknięć oryginału.

Przykładowo:

7. „Un peu plus tard, en 1953, l'effort marginal de la biologie moléculaire réussit à opérer la brèche décisive qui ouvre la biologie vers le «bas» par la découverte de la structure chimique du code génétique (Watson et Crick)”.

Otóż wszystko w tym zdaniu jest jasne z wyjątkiem sposobu, w jaki autor używa określenia „l'effort marginal de la biologie moléculaire” w stosunku do odkrycia struktury chemicznej kodu genetycznego. Być może potraktowano tu na serio szczególną poetykę znakomitej książki Watsona *Podwójna spirala*? Ale co ma robić tłumacz? Przetłumaczyć jako „marginesowy wysiłek”? „Dla jasności wykreślić”? Dziwaczne użycie słów to jeden z działów obszernego i rozpisanego na wiele dziedzin i języków „tekstu” pt. „Myślowe i językowe niechlujstwa humanistyki”. Zasadniczym zaś powodem, dla którego czynność tłumaczenia prowadzić musi do ujawniania owych niechlujstw, jest — przypomnijmy — fakt, iż dla tłumacza każde zdanie tekstu, nad którym pracuje, jest jednakowo ważne.

Odpowie ktoś, że wspomniana uprzednio wiedza o sposobach użycia słów pozwala tłumaczowi w toku jego pracy odkrywać piękności i głębie. To prawda. Ale ten podejmując wątek, wpisałbym się na długą listę roztkliwiających się nad dolą tłumacza, co troskliwie pochylony nad genialnym dziełem, heroicznie podejmuje się syzyfowej pracy, wiedząc, że tak czy inaczej zawieść musi zaufanie (czyje?).

Leksykalne
dowolności

Może warto zwrócić uwagę na fakt, że pochylając się troskliwie nad dziełem, tłumacz pochyła się m. in. nad niechlujstwem językowym, lukami w rozumowaniu, pretensjonalnością i dziwołagami myśli oraz języka, które raz po raz przywodzą na pamięć taką, z pozoru paradoksalną, myśl Słowackiego:

„Język stworzyć narodowi jest to szatańska przysługa. Wkrótce z formy wydobyć się nie może, leniwieje duchem — i łatwość tłumaczenia bierze za obfitość myśli”.

Szatańska
przysługa

Użyte w tym artykule przykłady pochodzą z następujących (w porządku publikacji) pozycji: B. Eichenbaum: *Literaturnyj byt*. W: *Moj wriemiennik*. Leningrad 1929; J. Katz i J. Fodor: *What is Wrong with Philosophy of Language*. „Inquire” 1962 nr 3; A. Laffay: *Logique du cinéma*. Paris 1964; R. Tuve: *Allegorical Imagery*. Princeton 1966; E. Morin: *Le paradigme perdu: la nature humaine* Paris 1973.